

— Chodźmy już — wyrzekł Henryk wzruszonym głosem.

Sztuczna jego wesołość i podniecenie zniknęło zupełnie, na twarzy wybił się dawny niepokój i przygnębienie, a w oczach nagle przygaszonych czaił się smutek tłumiony.

Noc była ciemna, dżdżysta, otulona w mgłę ciężką i gęstą. Nawet dzielnica Opery, rzęsiście oświetlona światłem wielkich latarni, wyglądała tego wieczora dziwnie ponuro i smutno.

— To o dwa kroki stąd — zauważył Delrue, widząc, że Henryk chce zatrzymać przejeżdżającą dorożkę. — Nie potrzebujemy się tak spieszyć.

Delrue starał się mówić spokojnie, lecz głos jego drżał nerwowo. Widząc jednak, że towarzysz jego niemniej od niego jest wzruszony, zapanował wkrótce nad sobą.

— Co za mgła gęsta — wyrzekł po chwili Henryk, podnosząc kołnierz od palta — Mam wrażenie, że mnie coś złego dziś spotka — dodał cicho.

— Rzeczywiście, czas taki może źle usposobić — odparł swobodnie Delrue — dla takich wrażliwych natur, jak ty, mój drogi, pożądane jest koniecznie gorące niebo południa i towarzystwo miłej i wesołej żony.

Popatrzył badawczo w twarz młodego człowieka, śledząc wrażenie swoich słów i mówił dalej, siłąc się na ton wesoły.

— Bądź cierpliwy, Henryku, za dwa lub trzy tygodnie będziesz tam, przy boku uroczej hrabiny de Kermor.

Henryk wstrząsnął się niecierpliwie, jak gdyby odpędzając od siebie kielkujący jeszcze na dnie duszy ostatni poryw buntu.

— Tak, to możliwe — odpowiedział niechętnie. Znajdowali się naprzeciw dworca Św. Łazarza. Skreśli na prawo, kierując się w stronę pasażu.

— Zatrzymajmy się na chwilę — rzekł Delrue — Musimy dobrze się porozumieć, bo nie chcę, żeby mnie z twojej strony spotkała jaka niespodzianka. Obiecujesz mi raz jeszcze zachować zimną krew, co bądź byś słyszał i widział?

— Będę zwyczajnym widzem tylko... — odparł Henryk.

— Bo, gdybyś się uniósł i wywołał jaką awanturę, na mnie tylko spadnie odpowiedzialność, pamiętaj o tem!

— Nie nudź mnie już. Obiecałem ci, że się zachowam spokojnie, więc nie masz o co się lękać.

— Ale ja znam twoje gwałtowne usposobienie. I powtarzam ci, nie chcę ponosić skutków twojego wybuchu. Doprowadziłoby to do tego, że musiałbym opuścić dom markiza, wyrzucony może, jak pierwszy lepszy fagas. A ja, wiesz dobrze, wypełniam tylko swój obowiązek, nic więcej.

— Masz moje słowo, czy to dosyć?

— Teraz ci wierzę. Nie jesteś przecież dzieckiem i rozumiesz, że tu chodzi tylko o pochwylenie rysu charakteru ludzkiego, poprostu studium psychologiczne.

— Tak, tak, oczywiście! Chodzi mi tylko o to. Ale kończmy już to, bo drzę cały z niecierpliwości.

— To bardzo źle. Podniecenie nerwów osłabia funkcje rozumu i prowadzi do szaleństwa. Powiedziałem zacnej pani Wiktoryi, że jesteś cudzoziemcem, dyplomata i nie chciałbyś być poznanym. Będziemy mieli salonik zarezerwowany przy głównej sali, do którego nikt obcy nie wejdzie. Będziesz wszystko widział, nie będąc widzianym.

— Doskonale. Idźmy prędko; pragnę, żeby się to jak najprędzej skończyło.

— Jesteśmy już na miejscu. To tutaj. Wejdz po tych schodach i nałóż maskę.

Brama, wiodąca na schody, rzęsiście oświetlona, była szeroko otwarta. Weszli po schodach, wyłożonych puszystym dywanem. Delrue przycisnął guzik od dzwonka elektrycznego i drzwi natychmiast się otworzyły dyskretnie. W przedpokoju panował półmrok.

— Dyplomata cudzoziemiec, pragnący tu przebyć chwilę incognito — szepnął Delrue do subretki, stojącej przy drzwiach, wsuwając jej do ręki złotą monetę.

— Dla Jego Ekscellencji przygotowany jest osobny gabinet — szepnęła panna Amelia, grająca dziś rolę odźwiernej — Proszę tędy.

Henryk de Kermor i jego towarzysz weszli do małego pokoiku, bardzo skąpo oświetlonego, w którym znajdowała się tylko kanapka i kilka niskich fotelików.

Zaledwie drzwi się zamknęły za panną Amelią, do pokoju weszła majestatycznie pani Wiktorya.

Wystrojona była stosownie do wieczoru, który miał jej przynieść dziesięć tysięcy franków czystego zysku. Korpułentne jej ramiona i piersi pokryte były koliai i broszkami olbrzymich rozmiarów.

— Panowie! — rzekła uroczyście, dygając głęboko — Witam was serdecznie w tym przybytku sztuki. Zechciejcie w towarzystwie mojem skosztować butelkę specjalnego, znakomitego wina, które umyślnie zarezerwowałam na wasze przyjęcie.

Banknot, wsunięty jej niecierpliwie do ręki przez Henryka, wstrzymał płynną wymowę damy. Spojrzała na młodego człowieka z gorącym uwielbieniem.

Banknotem tym w jednej chwili opłacone zostały kosztą całego wieczoru, włączywszy w nie słubną suknię księżniczki i różne drobiazgi toaletowe.

— Przybywa pan w samą porę — rzekła pani Wiktorya, uśmiechając się zachęcająco — Panna młoda już jest gotowa.

— Jaka panna młoda? — zapytał niespokojnie Henryk.

— Ależ Janka, nasze drogie, kochane dziecko, taka miła, wesoła, ulubienica nas wszystkich.

Uchyliła ciężką portyere, zasłaniającą wejście do dalszych pokojów i zawołała z zachwytem:

— Oh! Niech pan patrzy! Jak się wszyscy niecierpliwia, jak gorąco pragną jej widoku!

Henryk spojrzał i wstrząsnął się z obrzydzenia. W wielkiej, wspaniale udekorowanej sali roił się tłum dziwaczny, różnorodny, przybrany, jak na maskaradę. Panowie w kolorowych frakach, kamizelkach egzotycznych i jaskrawych, panie w oryginalnych przebraniach i kostiumach.

Mały, czarny dyabełek w rubinowym dominie bił zawzięcie w klawisze rozstrojonego fortepianu, śledząc uważnie osoby, znajdujące się w obramieniu rozchylonej portyery.

Nagle drgnął i zgubił takt rozpoczętej polki. Oczy jego pod rubinowym dominem zabłyśły gorączkowo i utonęły uporczywie w masce jednego z mężczyzn.

Zabawa rozpoczęła się już w południe. Przy śniadaniu wypiliśmy dosyć szampana i narzeczona naszego kochanego doktora musiała pójść spocząć na chwilę. Ale trochę cierpliwości, moi panowie, zaraz ją ujrzycie. Ubiera się już, gdyż za kilka minut opuszcza nas w towarzystwie małżonka — Mówiąc to, pani Wiktorya oddaliła się spiesźnie.

— Delrue! Czy jesteś pewnym, że to ona? że ona tu zaraz nadejdzie? — zapytał z drżeniem w głosie Henryk de Kermor — Mój Boże! Wierzyć mi się nie chce! Może to sen, złudzenie.

— Ani jedno, ani drugie, mój drogi. Za chwilę będziesz świadkiem jej tryumfu.

— Jesteś okrutnym, Andrzej. Tryumf! Powiedz raczej upadku, upadku marzeń moich i nadziei.

Słowa te doszły do uszu Luizy, siedzącej przy fortepianie.

— Tak, to on! — szepnęła — poznałam go po spojrzeniu! A teraz wiem, że nosi imię Andrzeja! Odeszła od fortepianu, niezauważona przez nikogo i wmiszała się w rozbawiony tłum.

— Muszę jednak być zupełnie pewną, że to on rzeczywiście.

Ostrożnie uchyliła drzwi małego saloniku, cichutko, na końcach palców podsunęła się do Andrzeja Delrue i nagłym ruchem zerwała maskę, kryjącą jego twarz.

Młody człowiek cofnął się z okrzykiem przerażenia. Z poza rubinowego domina patrzyły na niego dwie roziskrzone, gniewne żrenice.

— Luiza! — szepnął, poznając ją po spojrzeniu.

W odpowiedzi czarny dyabełek zaśmiał się złośliwie i zniknął za portyereą.

— Co to ma znaczyć? — zapytał zdziwiony tą sceną Henryk.

— Nic wielkiego! — odparł Delrue, uśmiechając się z przymusem — Jakaś ciekawa maseczka chce zawrzeć w ten sposób znajomość.

Obecność Luizy w tem miejscu i w tych warunkach zaniepokoiła go silnie.

Czyżby była w porozumieniu z panią Wiktoryą i doktorem Magnusem i zechce teraz zemścić się za nagłe opuszczenie?

W sali tymczasem wznosiły się frenetyczne okrzyki: — Panna młoda! Panna młoda! Chcemy widzieć pannę młodą!

Ukazała się znowu pani Wiktorya, oznajmiając smutnie:

— Oto „clou“ całego wieczoru, tak upragnione i oczekiwane, spełzło na niczem. Miało niem być pożegnanie nowo zaślubionej doktorowej z towarzyszami.

— Ah! — rzekł Henryk niecierpliwie — Więc nie przyjdzie? Nie pokaże się nam? Dlaczego?

— Trafia się to najporządniejszemu ludziom — tłumaczyła pani Wiktorya — szczególnie w takim dniu.

— Ale cóż to jest? Co się stało? — dopytywał się skwapliwie Delrue.

— Stało się, że panna młoda ustać na nogach

nie może. Dostała nagle nerwowego ataku. Może panowie chcecie ją zobaczyć?

— Zapewne, ale dyskretnie — odparł spierznie Delrue.

— Zrozumiałam — wyrzekła z powagą pani Wiktorya — Ale cóż to? — zawołała zdziwiona — pan zdjął maskę, panie Delrue?

— Któraś z maseczek pani ukradła mi ją — odpowiedział z uśmiechem zapytany — Ten czarny dyabełek, który grał na fortepianie.

— Co? — zaniepokoiła się pani Wiktorya — Powiadasz pan, że to mój dyabełek czarny spletał panu takiego figla? To ciekawe! Uczyniła zapewne to z żartów.

— Ja też w ten sposób to przyjąłem. Ale przysięgam, że tego nie było w naszej umowie. Przybyliśmy tu pod warunkiem, że nie będziemy widziani.

— Nie mogę wyjść z podziwu, że to uczyniła Luiza — tłumaczyła się pani Wiktorya, zmieszana słowami Andrzeja Delrue.

— Luiza? Ona napewno nazywa się Luiza? — zapytał niespokojnie Delrue.

— Tak jest, Luiza, ładne imię!

— To imię, a nazwisko?

— Niema nazwiska, mój drogi panie. Ale skoro pan taki ciekawy, to może pan spojrzeć przez te drzwi, to, co pan zobaczy, zainteresuje pana napewno i pana także, panie hrabio.

Henryk posunął się skwapliwie ku drzwiom, Delrue zaś pospieszył za nim, żeby go powstrzymać lub też może ukryć się za nim, jeżeliby tego zaszła potrzeba, a pani Wiktorya majestatycznym krokiem podążyła do sali. Już teraz nic ją nie obchodziło, nie chciała wiedzieć o niczem.

Deus ex machina.

Pani Wiktorya mogła nie chcieć wiedzieć o niczem, ale Luiza de Rieux innego była zdania.

Odąd poznała w zamaskowanym człowieku dawnego swojego przyjaciela, Andrzeja Delrue, dziwny niepokój i gniew ogarnął całą jej istotą. W chwili tej zrozumiała jasno, jak nigdy przedtem, że jedynie ten człowiek był sprawcą nieszczęścia całego jej życia, zmarnowanej przeszłości i hańby, jaką rzuciła na nieskalane dotąd nazwisko starego ojca. Pod wpływem tego wrażenia pobiegła do swego pokoiku, gdzie w parokryzmicznej nieobliczalnej żalu i wściekłości podeptała nogami porwaną maskę, poczem pochwyliła cienki, wyostrzony sztylet japoński, wiszący zawsze nad jej łóżkiem. Dotknięcie jego zimnej, błyszczącej rekojści przejęło ją dreszczem rozkosznym, ale oto nagle z tego odurzenia wyrwał ją przeraźliwy krzyk Janiny, wzywający ratunku.

Nie namyślając się skoczyła do drzwi ze sztyletem w rękę, szarpnęła niecierpliwie zamek i zauważyła, że ktoś z pod drzwi szybko uciekał.

— — — — —
Gdyby Henryk de Kermor pozostał był tu jeszcze chwil kilka, minutę... byłby uniknął wielkiej boleści i rozpacz... Ale pod wrażeniem tego, co ujrzał, oszalały z bólu i wstydu uciekł pomimo nawoływań Andrzeja Delrue, który szedł wszędzie za nim, jak duch zniszczenia i zła.

Na schodach o mało nie przewrócili dwóch poważnych mężczyzn w uniformach rządowych, nie słysząc ogłoszonego przez nich rozkazu:

— W imieniu prawa proszę się zatrzymać!

Przebiegli jak huragan około nich i wypadli na ulicę.

Przebiegły plan Andrzeja Delrue pożądane odniósł owoce, niespodziewane nawet, bo nie mógł on przypuszczać ani na chwilę, że mógłby dać się złowić w własne zastawione sidła.

Ci dwaj panowie, spotkani na schodach, byli komisarzami policyi, którzy w asyście inspektorów i władz dostali rozkaz uczynienia w mieszkaniu pana Colin Megret obławy nocnej. Stało się to za interwencją Andrzeja Delrue, której skutków jednak dotychczas nie obliczył.

Jeszcze przed dwoma tygodniami, chcąc się pomścić na starym lichwiarzu, który wydał go w ręce barona de Bressien na mocy owego nieszczęsnego świstka papieru, na którym figurowało jego nazwisko, Delrue raz jeszcze chwycił się umiejętności swojej w podrabianiu pisma i wystosował list bezimienny do dyrekcji policyi, zwracając jej uwagę na tajemniczość operacji finansowych obojga małżonków Colin Megret.

(Ciąg dalszy nastąpi.)